

Die 3 augusti

Zamek w Samborze, około północy

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Był sam na kwaterze, w bocznym skrzydle domu królowej, gdzie stary, zrzedliwy pokojowy, pamiętający zapewne jeszcze czasy Zygmunta Augusta, z trudem znalazł wolny pokój na poddaszu, z oknem wychodzącym na zamkową fosę. Świrski i Nieborski wyfrunęli na wychodne, tam, dokąd wiodło ich przeznaczenie – będące dla pierwszego z nich świetlaną jutrzeńką nadziei zamkniętą w cynowej konwi pełnej piwa; dla drugiego zaś oznaczające pełne miłosnego żaru uściski w ramionach dziewczki służebnej albo ladaczniczki. Dydyński zaś postanowił jasno i nieodwołalnie, że jeśli na skutek młodzieńczej głupoty jego czeladnik wróci z miłosnych podbojów bez szabli i czapki, przestanie łożyć krocie na jego moderunek. I zamiast w husarskim żupanie będzie się musiał Nieborski popisywać w koszulinie i magierce!

Zacny pan Jacek zapomniał tylko, drogi Czytelniku, że przyrzeczenia takie składał średnio raz i dwa razy w miesiącu. A gdyby spełnił choć jedno, byłby pan Damian golcem bez szeląga w kalecie, kołatającym do pańskich drzwi jak proszalny dziad.

Miał jednak zacne i wybaczące serce pan stolnikowic sannotki...

Dydyński rozmyślał. Zbierał do kupy wszystko, czego dowiedział się o tajemnych wrogach carewicza. A więc byli przebiegli. Chcieli Dymitra porwać i wywieźć w niewiadomym kierunku, nałożywszy mu na głowę niedźwiedzią maskę. A ich wysłannicy pokazywali sługom Niedźwiedzi Chrest, całowali jego ramiona i wymawiali Słowo, które dawało nieograniczoną władzę.

Ciekawe, co by było, gdyby pokazał ten Chrest Borysowi Oboleńskiemu? Czy Moskal rozdarłby szlachcica na strzępy? Padł na kolana? Boże mój, to byłby plan godny Samuela Zborowskiego i jego wyprawy na Turków...

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi, budząc zdumienie Jacka. Czyżby wrócili śludzy? Rzecz prawie nie do uwierzenia, zwążywszy na przepaściste gardło pana Herakliusza i niebywałą skłonność do popadania w tarapaty Damiana.

Niezamknięte drzwi otwarły się z wolna. Dydyński, leżący na łóżku w żupanie i hajdawerach, myślał już, że to pijany jak suseł Świrski szuka po omacku drogi do komnaty; wiadomo, że dla niejednego pijanicy podróż z karczmy do domu może okazać się równie długa i pełna przygód co wyprawa legendarnego Odyseusza.

Nagle ktoś zdmuchnął kaganek, pozostawiając Dydyńskiego oraz jego myśli w niemal absolutnej ciemności. Stolnikowic drgnął; sądził, że to pijany pocztowy pomylił łoża, i już chciał wyzwać jego matki i babki od ostatnich, nie oszczędzając nawet pra- i nadbabeł, które wszak mogli mieć wspólne. Wreszcie przez podgolony łeb przemknęła mu myśl, że może to diabeł – i to spostrzeżenie okazało się najbliższe prawdy. Kiedy bowiem szlachcic poczuł dotyk dłoni, zorientował się od razu, że to nie czart, ale... diaboliczna. I wcale ta myśl nie była mu niemiła.

Niewiasta legła obok i od razu przystąpiła do rzeczy. Dydyński zaś przypomniał sobie słowa Maryny i jej prośbę, by nie zamykał w nocy drzwi do komnaty. Oczywiście, pierwsze jego podejrzenie było takie, iż to sama wojewodzianka nawiedziła go w łożu. I na to wspomnienie od razu zeszytniał ze strachu. Zeszytniał – ma się rozumieć – we wszystkich częściach swego ciała poza tą jedną, niezwykle ważną dla jego fantazji, splendoru i podtrzymania szlacheckiego rodu. A potem, kiedy zaskoczony objął rękoma nieznaną, przekonał się z ulgą, że nie była to wojewodzianka, bo te prowincje pięknego ciała, które u Maryny były płaskie jak Mazowsze albo stepy zadnieprzańskie, nieznaną dziewczyną miała okrągłe niczym góry Beskidu.

Pomyślał, że jednak zasłużył na nagrodę, i nie było dlań niczym niemiłym, kiedy od razu zajęła się jego ubiorem. Ukoiła mu usta pocałunkiem, a jednocześnie zabrała się do guzów żupana. A z tymi w takich okolicznościach zawsze jest kłopot, są bowiem przewleczone przez grube pętlice. Wiadomo, chciałoby się zerwać je jednym ruchem, ale przecież każdy kosztuje przynajmniej parę groszy. A taki ekspens nie zawsze równa się chwili przyjemności, która po nim następuje.

Zwodnica wiedziała jednak dobrze, jak uporać się z zapieciami w ciemności, odczepić z haka pozłocisty pas rycerski, a potem jednym szarpnięciem rozplątać troczki koszuli i sznurek od hajdawerów – co było już wyższą sztuką, bo naprawdę trudno zmacać ten supeł w ciemności. Poczul jej wargi wędrujące od jego ust aż na dół i sam porwał za obfite krągłości jabłek Wener, a potem – za nadobny gaiczek skrywany pod suknią i spódnicą, otaczający źródło gotowe napoić spragnionego konika.

Szybko pomogła mu pozbyć się własnego stroju, który krępował jej ruchy i niejeden raz był przyczyną męskiej złości i irytacji. W owych czasach bowiem nie wystarczyło pozyskać przychylności niewiasty, lecz trzeba ją było jeszcze zdobyć jak twierdzę, obłuskując z sukni, spódnicy, stanika i fortugałów, jak ziemny zamek z beluard i kawalierów; pozostawiając na miłośnicy jedynie kanaki i obręcze, to jest naszyjniki i pasy zdobione srebrem i perłami, niczym na nagim ciele perskiej nałożnicy.

Dlatego niecierpliwy pan Nieborski na ten przykład nie bał się nigdy w żadne oblężenia, ale zdobywał niewiasty szturmem, podchodząc do forteczki Amora tajnym podkopem. Czyli po prostu obracając nadobne amory tyłem do przodu i zadzierając suknię na obręczach do góry, a potem szturmując niewieście wdzięki z pochyloną kopią. Wszelako poniechał tego, gdy kiedyś trafił mu się złamany fortugał, który przebiwszy płótno spódnicy, pozostawił na jego rzyci ślady jak od pchnięcia pohańskiego koncerza.

Ale to wszystko było już nieważne. Teraz liczyło się tylko ciało, dłonie i usta metresy, która rozpalala w panu stolnikowicu żar

namiętności. Wkrótce pieściła ustami jego rumaka do chwili, gdy dumnie stanął dęba, a pan Dydyński przesuwał dłońmi po jej plecach i karku, a nade wszystko po pieszczonej i uciesznej łączce, z której ciekł słodki niczym miód, pocieszny nektar miłości. Dając tym samym niewymowny znak, iż karczemne lekcje u pań tak nieciężkiego autoramentu, że mogłyby służyć za piórka przy husarskiej zbroi, odrabiał stolnikowic równie pilnie co łacińskie deklinacje wpajane w kolegium ojców jezuitów.

Potem zaś, ku zadziwieniu szlachcica, to ona pierwsza wśliznęła się na górę, dosiadła go jak amazonka wierzchowca. A nie była to bynajmniej pozycja, którą zalecali w kazaniach pobożni i prawowierni proboszczowie, lecz jedna z owych dwunastu diabelskich postaw, które zademonstrował na wojskowych murwach Kałmuk Astrakań wzięty do niewoli pod Bukowem przez wojska pana hetmana Jana Zamoyskiego.

Meretryca ujeżdżała stolnikowica tak mocno, aż trzeszczało stare łoże. Koszula, której nie zdjęła, zsunęła się w dół, więc Dydyński zadarł ją siłą w górę, pieścił i ścisnął parę uroczych piersi, galopujących nad nim jak arabskie klacze. Ciągłe nie widział oblicza bachantki, nie znał jej imienia. Cóż jednak byłoby jej po najpiękniejszej twarzy (zwłaszcza że i tak było ciemno choć oko wykol), co po pięknym oku – przesłoniętym powiekami i rzęsami długimi niczym najcieńsza muslinowa zapona – gdyby stolnikowic nie czuł wyraźnie uścisków owej rzeczy w kroku. I na tymże właśnie miejscu skupiły się w tej chwili wszystkie myśli pana Dydyńskiego. Jednak nawet zapamiętawszy się w miłosnym oblędzie, nie mógł pominąć milczeniem innych powabów dziewczęcia. Jakoż swawolnica miała inne cudności, i to bynajmniej nie takie płaskie jakoby wymalowane na kościelnych obrazach; przeciwnie – ciepłe, gorące i warcie przynajmniej dobrego biczowania się za sam dotyk. Ramiona jak rozfiglowane koźlęta, a cycki niczym... bębny – które to określenie wydawało się panu Jackowi dziwnie prostackie, wręcz hajduckie. Jednak w takiej chwili i w takim położeniu nie bardzo miał czas ani ochotę, aby wymyślać jakieś inne,

o wiele gładsze porównania. Albowiem myśli zajęte miał tylko tym, aby posyłać do celu coraz celniejsze strzały Kupidyna. To było bowiem niczym gonitwa konno do pierścienia, a jak podawały stare przepisy: komu by w galopie kopia z rąk wypadła albo się o ziemię ułamała, ten tracił razy wszystkie i nic zgoła do gonitwy nie miał.

Na szczęście, pan stolnikowic trafiał zawsze w sam środek. I dlatego po pierwszym gonieniu pokazał od razu pannie, że jest nie tylko *generosus* ⁵⁹, ale i *nobilis* ⁶⁰, a nade wszystko chłop mężny i pocziwy. Dlatego poderwawszy się i chwyciwszy niewiaستę w pól, złożył ją teraz z kolei pod sobą, a potem począł karesować długo, namiętnie i do ostatka w pozycji, którą szelmy i karczemni figlarze zwykli zwać na raka.

Nie skończyło się wszelako na drugim razie. Mokry, rozgorączkowany pan stolnikowic dojeździł swoją miłośnicę do samego końca, z czym nie było kłopotów, bowiem wianeczek miała skradziony – rzecz oczywista, to nie Dydyński był pierwszym złodziejem. Wychylił z nią zatem czarę nektaru bogów po raz trzeci i czwarty – ten ostatni w pozycji, którą bezbożni poeci zwykli zwać na kapucyna.

Wreszcie legł wyczerpany obok meretrycy. Wzrok jego przyzwyczał się do ciemności, zresztą na zewnątrz wzeszedł księżyc, wybielił drewnianą posadzkę komnaty, przydając konturów oraz ostrości meblom i przedmiotom.

Dydyński uniósł się na łokciu.

– Kimże jesteś, moja nadobna panno? – zapytał. – Rad bym wiedzieć, co za anioł mnie nawiedził. Pamiętaj jednak, że jeśli zmyliłaś drogę, tedy choćby przyszło teraz do twego płaczu i lamentów, ja niczego żałować nie będę.

– Nie pomyliłam się, mospanie – miała chropawy głos, który dziwnie nie pasował do jej wybujałego ciała i niewinnego lica – zwę się Dorota i jestem podarunkiem. Darem wdzięczności...

59 łac. – urodzony

60 łac. – szlachetny

– Od Maryny?
 – A jakże.
 – Wielce mnie cieszy afekt panny wojewodzianki. Chociaż...
 – Żałujesz, że to nie ona?!
 – Nie, skądże. Anibyśmy śmiało pomyśleć o córce pana wojewody.

– A przecie ją obłąpiałeś. Na balu u Herburtów, w stajni zamkowej, pięć lat temu, kiedy na konia wsiadała.

Dydyński zmartwiał. Ho, ho, wybranka Kupidyna musiała być zaiste w wielkich łaskach u Maryny, skoro dowiedziała się takich rzeczy.

– Pewnie nie wiesz, co odpowiedzieć?

– Nie wiem – przyznał bezradnie, bo... naprawdę nie wiedział.

– Nie musisz – wyszeptła mu do ucha. – Ja powiem wszystko, co trzeba. I nie tylko powiem. Pokażę!

A potem poczęła całować go po całym ciele – najwięcej uwagi poświęcając żywotowi szlachcica oraz tej jego części, którą pobożne katolickie pióro niżej podpisanego nie powinno zwać inaczej niż tylko podbrzuszem, a protestanckie ucieka od jego opisu, jakoby szczyrzył tam zęby sam papieski inkwizytor.

– Od zawsze chciałam cię poznać, panie – wyszeptła.

– Zawsze, to znaczy od kiedy?

– Od tego czasu, gdy dwakroć uchroniłaś carewicza Dymitra od śmierci. Cały dwór wojewody rozprawiał o waszej mości.

– To miło... Aj! Uwóżaj! Ząbki masz jak stado owiec, ale zanadto swawolne.

– A teraz wszyscy się dziwiąją, żeś pomiłował Borysa.

– Nawet kat byłby równie miłosierny, gdyby otrzymał taką nagrodę jak twoja przychyłność, mościa panno.

– Lecz mnie się zdaje, że jest jakowaś tajemnica między wami...

– Gdzie tam! Potrzebowałam sługi, a Borys nadał mi się z postawy, bo wygląda jak człek, co z dzikimi niedźwiedziami bez szwanku bierze się za bary.

- Ten Moskal uczyni krzywdę waszej mości.
- Nie lękaj się, mała metreso – roześmiał się Dydyński. – Moja węgierska pani zawsze będzie na podporządku. Silna, zwar-ta i gotowa... do każdej roboty.
- Węgierska pani? Ach tak! Twoja szabla.
- Dokładnie. A swoją drogą, to mój miecz rdzewieje. Czy zechciałabyś? O, właśnie taaaak...
- A nie wolałbyś, panie – wydyszała po długiej chwili, ode-rwawszy usta od jego rodowego klejnotu – aby twój miecz od-począł znużony w pochwie?
- Nie – rzekł rozbawiony.
- Na pewno?
- Mniej będziesz gadać – walnął prosto z mostu – mając wargi zajęte berłem Wenus, które potrafi skutecznie okiełznać najswawolniejsze niewieście temperamenty.
- Ugryzła go, ale bez złości.
- Jeśli będziesz tak niepohamowany w języku w obecności Dymitra, to wkrótce możesz zdobyć więcej wrogów niż wło-sów na łbie – wydyszała.
- Nie dbam o to.
- Niektórzy starali się o posłuchanie u carewicza przez całe miesiące, a ty – szast-prast, a już z nim gadasz na osobności i pewnie dostajesz jakieś tajemne rozkazy.
- Dworycki ci tyle o mnie naopowiadał? To mój wróg.
- Nie jest ci aż tak niezyczliwy, jak myślisz, mości panie.
- Dał mi wystarczające dowody swej łaski, kiedy parę dni temu nocowałem w polu pod zamkiem. Dopiero dzięki wsta-wiennictwu Waarłama mogłem stanąć przed obliczem Dymitra.
- To nie Jaickij przebłagał carewicza. – Przeciągnęła się jak kocica. – Jegomość Dworycki wstawił się za tobą, aby nie po-zbawiać cara usług tak zacnego kawalera.
- Prędzej uwierzę, że Borys Godunow ustąpi bez walki mo-skiewską stolicę naszemu Dymitrowi.
- Ustąpi, jeśli misję, którą powierzył ci Dymitr, wypełnisz do końca.

– Jaką misję? – Dydyński rznął głupca, choć wolałby zgodnie ze słowami mistrza Kochanowskiego uciąć harde i nieposkromione drzewo, w jakie zmienił się temperament tej pani.

– Dwórki i służki na zamku mawiają, że jesteś sekretnym powiernikiem Dymitra, ale to pewnie zwykła gadanina głupców i małych trzpiotek. Nie musisz odpowiadać, ja znam prawdę: carewicz dopuszcza do sekretów jedynie pana wojewodę, Dworyckiego i Buczyńskich, a poza nimi swoich Moskali.

– Z ust mi to wyjęłaś, mościa panno – rzekł, choć wiedział dobrze, że nie była to odpowiedź, którą spodziewała się usłyszeć. – Ci ludzie zagradzają mi drogę do carewicza skuteczniej niż pas cnoty do gaiku księżniczki. Bo na pas cnoty zawsze znajdzie się solidny wytrych, a na czarne sumienie pana Dworyckiego pozostaje tylko szabla – której przy boku carewicza nie poważę się użyć.

– Nie sądz bliźnich po słowach, jeno po uczynkach.

– A co mi tam Dworycki! Trzem takim jak on dałbym radę!

– Wiem – wyszeptła, tuląc się doń namiętnie – dlatego opowiedz mi: jak dasz sobie radę z Borysem?

– Za dużo już gadasz, moja duszko. Pokaż, proszę, że gębusia służy ci nie tylko do obracania językiem na podobieństwo kijanki.

– Mmm... Taaak – mruknęła, a potem przez kilka chwil uczyniła z języczka taki użytek, że poczuł się jak w niebie.

– Wiesz – wyszeptła po chwili – mogłabym, mój panie,jechać z tobą na kraj świata. Choćby na Moskwę z Dymitrem, jako... metresa. Pilnowałabym ci ochędóstwa, gotowałabym strawę i doglądała czeladzi, a w nocy miałbyś gdzie się utulić do snu...

O tak, jeszcze czego, pomyślał niechętnie. Już widział, jak będzie czekać na niego, kiedy wróci z pola, z krwawego moskiewskiego żniwa. A wieści o wszystkim, co mówi, z kim śpi i co robi, trafiać będą wprost do ślicznego uszka panny wojewodzianki Maryny. Uchowaj Panie Boże od takiej Penelopy!

– Jedziemy na wojnę, z której nie ma powrotu. W obozie nie ma miejsca dla niewiast! Tak samo jak w tej komnacie!

W pierwszej chwili chyba nie zrozumiała.

– Zostaw mnie samego. – Łagodnie, ale stanowczo odsunął jej ramiona. – Muszę iść spać, bo jutro czeka mnie służba!

– Nie wyrzucaj mnie, panie – zaszlochała cicho. – Jestem taka... sama w tym zamku.

Z niesmakiem wstał z łoża, bo coś podobnego słyszał od Maryny; doprawdy niewiasty mogłyby zmienić już śpiewkę o samotności na coś mądrzejszego, bo tę starą gadkę powtarzały już chyba nawet papugi starosty Oźgi. Chwycił hajdawery, narzucił koszulę, wbił stopy w wysokie do kolan husarskie buty na podkówkach grubych na dwa palce.

– Idź stąd i powiedz swej pani – rzucił wściekle – że wolę rozmawiać z nią osobiście, a nie przez służkę, a jeśli ma do mnie jakąś sprawę, tedy niechaj wezwie do siebie albo tu przyjdzie... Niekoniecznie w roli metresy!

Dorota zapłakała, zaszlochała, niezwykle – trzeba jej przyznać – przekonywająco. Wprost serce się krajało, a lody stopniałyby nawet w dalekiej Moskwie, gdyby słuchały jej rozdygotanego płaczu. Niestety, serce Dydyńskiego było z najtwardszego kamienia. Szlachcic przygryzł wąsa, nie pozwolił, by ogarnęła go nagła litość – największa i najwierniejsza przyjaciółka niewieściej perfidii i podstępów.

– Możesz stąd wyjść ubrana albo naga, jak cię Pan Bóg stworzył! – skwitował jej żale. – Wybieraj, dziewczko, bo mi się śpieszy!

– Mój panie – wyszeptwała ledwie słyszalnie, zanosząc się szlochom – nie wyrzucaj mnie... Nie oddalaj od siebie... Błagam i proszę!

Zanim zdołała paść mu do stóp, pochwycił jej suknię, koszulę, stanik i gorset, a potem podszedł do otwartego okna i cisnął niewieście fatalaszki na zewnątrz, wprost do fosy, w której żaby odprawiały nocne koncerty.

– Idź precz!

Podszedł do łoża, chwycił ją za ramię, wywłókł brutalnie, postawił na nogach. A potem popchnął w stronę wyjścia i szeroko rozwarł stare drzwi.

– Śpiesz się, żebyś zdążyła przed zmianą roty – wyszczał. – Inaczej hajducy pana wojewody będą mieli o czym opowiadać jutrzejszego rana przy piwnej polewce!

Jednym ruchem ręki stwardniałej od szabli przyłożył w jej wypięty tyłek z taką siłą, że dziewczka poleciała naprzód jak wystrzelona z armaty. Płacząca i przerażona zrobiła krok, potem drugi... Wreszcie pobiegła, płaszcąc bosymi stopami po kamiennych podłogach zamkowych krużganków, nie wiedząc, czy zasłaniać piersi rękoma, czy też raczej zakryć nimi splątaną kępkę włosów na złączeniu ud.

A Jacek Dydyński, rad z siebie i nieczuły na niewieście łzy, zatrzasnął drzwi z rozmachem. Odszukał w skrzyni bukłak z winem i napił się szczerze i mocno, jak po odniesionym zwycięstwie.

I właśnie przyszła mu do głowy rzecz prawie niesłychana.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki